

Jerzy Przywara

Koza dojna

Przytoczona w rozmowie z Rafałem Piętką [patrz wywiad na s. 10 – red.] sprawa Edwarda Hamanna dała początek walce geodetów z ośrodkami/starostami o zwrot bezprawnie pobieranych opłat. Ten geodeta uprawniony walczył przed sądami od 2003 do 2008 roku, by odzyskać niesłusznie pobrane od niego kwoty. W końcu wygrał, starostwo w Wołominie musiało mu zwrócić ponad 25 tys. zł plus odsetki i koszty procesu.

Dziesięć lat później ze starostą sąsiedniego powiatu walczy inny geodeta. Tym razem bój idzie o – bagatela – 389 tys. zł. Po czterech latach procesowania dopiął jednak swego i wygrał przed Sądem Najwyższym.

Przypadki firm geodetów Hamanna i Piętki to modelowy przykład pokazujący, do czego zdolni są urzędnicy. Tutaj – do łamania prawa, za co w normalnym kraju ponosi się konsekwencje: od utraty pracy do wylądowania za kratkami. Oczywiście, ani staroście wołomińskiemu, ani legionowskiemu włos z głowy nie spadł i nie spadnie. Choć proceder w przypadku tego drugiego przyniósł powiatowi grubo miliony wyciągnięte z kieszeni geodetów uprawnionych.

Według *Prawa geodezyjnego i kartograficznego* zarówno Główny Geodeta Kraju, jaki i starosta (geodeta powiatowy) oraz wojewoda (WINGiK) stanowią tzw. służbę geodezyjną i kartograficzną, do której zadań należy „realizacja polityki państwa w zakresie geodezji i kartografii”. Ta od wielu lat sprowadza się do gigantycznych i niezwykle kosztownych projektów informatycznych, które jednak ani nie spowodowały, że w rankingu najlepszych gospodarek kraj nasz znalazł się choć szczebel wyżej, ani nawet nie poprawiły losu firm geodezyjnych. Popra-

Taki oto dowcip słyszałem ostatnio. Do GUGiK dzwoni człowiek z terenu i pyta, czy jest prezes, na co sekretarka odpowiada: Nie ma, pan Radzio jest na szkoleniu. A teraz na poważnie. Będzie o psuciu państwa.

wiły się za to z całą pewnością wyniki finansowe firm informatycznych. Czasami dziwię się, że wiceprezesem GUGiK jeszcze nie jest jakiś korporacyjny wilczek do sprawniejszego wyścigu państwowej kasy.

Dlatego nawet można po części zrozumieć, że ten czy ów starosta (czytaj geodeta powiatowy) chwytają się wszelkich sposobów, także tych niezgodnych z prawem, by zapewnić funkcjonowanie swej jednostki, skoro państwo zapomina o zadaniach, które samo na nich nałożyło. Powiaty mogą tak postępować, bo polityka w zakresie geodezji i kartografii, nie wiedzieć czemu, nie dotyczy elementarnej kontroli tego, co się robi na poszczególnych szczeblach administracji geodezyjnej.

Odnoszę wrażenie, że istnieje swego rodzaju ponadpartyjny mafijny układ: wy nie będziecie zagląдали nam w karty, a my nie będziemy się czeplić o jakieś tam dojenie geodetów, lipne standardy, ustawione przetargi itd. Bo jak inaczej wytłumaczyć to, że o wyżej opisanych bezprawnych praktykach, a także innych grzechach powiatowej geodezji wiedzą wszyscy i nic się nie dzieje? Nie ma żadnej reakcji, ani WINGiK-ów, ani GUGiK-u, ani tego dziwnego ministerstwa pt. MAC.



Skoro o ministerstwie mowa. Jest takie porzekadło, że ryba psuje się od głowy. Kilka lat temu, gdy GUGiK podlegał jeszcze MSWiA, w urzędzie zjawiała się kontrola z ministerstwa. Tajemnicą poliszynela było, że w GUGiK panuje kiepska atmosfera, w tle był konflikt dwóch wysoko postawionych pań (jednej z GUGiK, drugiej spoza), poza tym dziwne nominacje i męsko-damskie układy, o których głośno było na korytarzach. Niedługo po tym urząd przeszedł pod skrzydła Ministerstwa Administracji i Cyfryzacji. Kontroli oczywiście też ukrecono. Dlatego GEODETA postanowił zadać nowemu ministrowi Michałowi Boniemu kilka trudnych pytań związanych z funkcjonowaniem GUGiK. Skorzystaliśmy z obecności Boniego na posiedzeniu Rady Infrastruktury Informacji Przestrzennej (dokładniej: na samym otwarciu) i daliśmy mu pytania do ręki. Minister pismo przyjął. Od tego czasu minęło dwa i pół roku, a my wciąż nie mamy odpowiedzi. Nasze pytania dotyczyły między innymi pozornego tylko konsultowania nowych aktów prawnych przez GUGiK, wspomnianej kontroli w tym urzędzie, planowanej deregulacji zawodu geodety czy zapowiadanej strategii rozwoju geodezji w Polsce, której do dzisiaj nikt na oczy nie widział. Ale pana Boniego to widać nie interesowało.

Minister ów w ogóle uciekał od wszelkich problemów. Na sugestie z GUGiK, by wystartować czym prędzej z pracami nad nowym prawem geodezyjnym, od razu dał do zrozumienia, że wystarczy nowelizacja, no bo po co większe kłopoty. Pan minister zajął się za to pisaniem strategii rozwoju kraju, i to chyba aż do połowy XXI wieku. Strategii nie do zweryfikowania, bo spora część z nas tego nie dożyje, równie duża wyemigruje, a poza tym następne rządy będą miały swoich „Bonich” do pisania kolejnych epistoł, z których nic nie wynika.

W strategii średniookresowej minister Boni zapisał się z kolei złożeniem podpisu pod kuriozalnym rozporządzeniem o standardach, a w krótkookresowej – rejteradą z ministerstwa po dwóch latach urzędowania i załatwieniem sobie fotela europośła. Teraz w nagrodę za brak osiągnięć jedzie do Brukseli, by dorobić do przyszłej emerytury. Tak się psuje państwo.

Psuje się też w inny sposób. Kilka miesięcy temu głośna była sprawa „Waldemar Izdebski kontra GUGiK”. Opisywaliśmy ją na łamach GEODETY i na portalu Geoforum.pl. Doktorowi Izdebskiemu (obecnie świeżo po habilitacji) przeszkadzała marna jakość stanowionej prawa, która uderza nie tylko w niego

jako obywatela, ale i w jego firmę (chodziło m.in. o ewidencję adresów w gminach i aplikację GUGiK do jej prowadzenia). Dlatego wysłał w tej sprawie sukcesywnie listy, zaczynając od GGK, przez ministra Boniego, do samego premiera. Kiedy korespondencja zostawała bez odpowiedzi, pisał listy otwarte, w których wykazywał ignorancję i szkodliwe działanie urzędników ze Wspólnej. Wtedy dopiero dostał od GGK i ministra odpowiedzi, które jednak urągały inteligencji przeciętnie rozgarniętego czytelnika. Z kancelarii premiera przyszła zaś lakoniczna odpowiedź o charakterze grzecznościowym, prawdopodobnie szablon w takich przypadkach, pod którą podpisał się jakiś wicedyrektor.

GUGiK dał tu pokaz wyjątkowej buty, utrzymując, że wszystko jest OK. Chociaż przetargi na aplikację adresową (i ewidencję) śmierdzą na kilometr, chociaż nie wiadomo, co spece z GUGiK-u odebrali od wykonawcy (prototyp do zabawy czy bubel), chociaż utopiono w tym miliony i bez wstydu zapowiedziano wydanie kolejnych. Taka postawa powinna dziwić, ale mnie jakoś nie dziwiła. Nie dziwiła, bo wiele miesięcy przed opisywaną tu sprawą dr Izdebski rozesłał do gmin pismo, w którym informował potencjalnych użytkowników „darmowej” aplikacji adresowej, jakie błędy może zawierać ten produkt, dopiero zapowiadany wtedy przez urząd. Gdy kopia pisma dotarła do GUGiK-u, odpowiedzią było buńczuczne pismo wiceprezesa Jacka Jarząbka, które sprowadzało się do tego, że jak Izdebski nie odszczeka tego, co napisał, to GUGiK pozwie go za obrazę dobrego imienia... GUGiK-u. Na takie dictum pan Izdebski odparł: Czeka na pozew. I czeka do dzisiaj. No, po prostu kabaret.

Jeśli zaś mowa o kabarecie, to oglądałem ostatnio sejmowe zmagania tuzów ze Wspólnej w sprawie nowelizacji *Pgik*. Odprawiali tam istne czarysty, żeby zamaskować swój fatalny projekt. Wiceminister Huskowski z MAC opowiadał bajki, jak to rok temu tuż po wyroku Trybunału Konstytucyjnego mędrzy z GUGiK-u zasiedli do opracowania strategii nowelizacji. Nie powiedział tylko, że TK nakazał zająć się jedynie sprawą cennika, a nie zmianami w całej ustawie. Nie powiedział również, że już w 2011 roku wiceprezes Jarząbek informował na konferencji w Elblągu, że nowy cennik jest prawie gotowy. Nie powiedział też, dlaczego nie można było zrobić dwóch nowelizacji: szybko jednej dotyczącej wyroku TK i np. za pół roku drugiej, szerszej robionej na spokojnie. Przeczytał, co mu napisali w GUGiK.

Po transmisji wziąłem się za studiowanie nowego cennika. No cóż, czegoś tak idiotycznego dawno już nie widziałem. Powiem bez ogródek, wymyślił to kompletny ignorant, który nie ma zielonego pojęcia, jak powinien wyglądać dzisiaj cennik. Jakieś współczynniki, wzory, szaleństwo. Aż dziw, że nie ma różniczek i całek. I do tego „Dokument Obliczenia Opłaty”! Biurokracja w szczytowej komunistycznej formie.

Skoro zaś o wzorach mowa. Ponad 50 lat temu prof. C. Northcote Parkinson w swej bestsellerowej książce „Prawo Parkinsona” opisał wzorem współczynnik niewydolności gabinetu (brytyjskiego). Sądzę, że wzór ten można swobodnie zaadaptować do określenia niewydolności GUGiK-u. Niektóre jego parametry wyglądałyby wtedy tak: a – liczba przyjętych do pracy po znajomości, b – średnie ciśnienie krwi doradców i dyrektorów departamentów, p – cierpliwość GGK mierzona w skali Peabody, d – liczba lat spędzonych przez doradców i konsultantów w BGiTR.

Pod lekturze cennika poszedłem spać. I wtedy dopiero się zaczęło. Śniło mi się, że wzburzony tłum geodetów idzie Kruczą pod GUGiK, a za nim jadą ciężarówki z oponami. Na placu przed wejściem ludzie zaczęli palić opony i rozciągnęli transparent z napisem „Koniec z GUGiK-iem”. Wbiegłem do budynku, ale wszędzie było pusto. Dopiero na trzecim piętrze na korytarzu zobaczyłem panów Bujakowskiego i Jarząbka, jak doją kozę. A jak się przyjrzałem kozie, to miała ona tysiące twarzy, które migały jedna za drugą. Na kanapie we wnęce siedzieli pan Radzio z Bolesławem Bierutem i zaśmiewali się do łez. Zbiegłem czym prędzej na dół, ale tam nie było już żadnego tłumu i płonących opon. Była piękna polana, na której pozycję kwiatu lotosu trenował Wiesław Potrapeluk, obok Stanisław Cegielski wyjmował ze skórzanej teczki kanapki z salcesonem, na prawo siedziała Matka Teresa z Kalkuty i robiła z dyni maskę na Halloween, a dalej stała ta koza z trzeciego piętra. Żarła właśnie druk sejmowy nr 2364. Podszedłem, żeby zobaczyć, jaką ma teraz twarz, to znaczy pysk, ale wtedy się obudziłem.

Przy śniadaniu stwierdziłem, że cały ten dołujący tekst trzeba by jednak zakończyć jakimś optymistycznym akcentem. I tak doszedłem do wniosku, że może być nim wygrana Rafała Piętki, bohatera naszego wywiadu z poprzednich stron. Mając bowiem tak bogate doświadczenie sądowe, nie musi się on obawiać, że ktoś mu zrobi kuku jakimś Dokumentem Obliczenia Opłaty. ■